Nr. 18. We Lwowie dnia 6. maja 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

J. G. Fed'kowycz.

DOBOSZ.

Słyszeliście, ludzie dobrzy,
Przed kim zwierz ze strachu pada,
Za kim giną mołodyce,
Za kim dziewcząt rój przepada?
To nasz Dobosz nasza sława,
To kapitan na Podgórzu!
Piękny, piękny, jak carewicz —
Lat dwadzieścia z czemś — nie dużo

Chłopców tysiąc jemu służy!
Cóż, królewno? Stawisz opór?
Niemiec dużo łożył stali
Na ten jasny jego topór.
Madjar dał na porosznice
Prawie wszystko złoto swoje,
A ten czeres wart jest więcej,
Niźli dwa królestwa twoje!

Jasna nocka w Czarnohorze;
Księżyc blade światło leje.
A kapitan smutny chodzi,
Coś, mu w piersi serce mdleje.
I toporka już nie pieści,
I na kresak ani patrzy,
Chodzi, chodzi, głowę chyli,
Pewnie duma — nie inaczej.

»Kapitanie, ty nasz panie!
Tobie smutek nie do twarzy.
Jam jest śpiewak na Podgórzu.
Czy kapitan śpiewać każe?
Piosnek różnych umiem wiele,
Umiem budzić też tęsknotę...
Kapitanie, może każesz
Chłopców budzić na ochotę?

»Patrz, tam chłopców tysiąc dwieście
Spać pokładło się na stoku.
Hej, jacyż bo żwawi, bujni!
Ogień pała w każdem oku.
Żaden jeszcze nie pił wody,
Chyba krew a szumne wina;
Chleb ich biały nie hoduje,
Z żubrów tuczy ich słonina«.

A kapitan stał nad nimi,
Wziął pistolet, budzi skały.
Strzelił — a szeregi zbójów
Już na równe nogi wstały.
»Jaki rozkaz, kapitanie?
Mamy rąbać, palić dwory,
Czy jakiemu mocarzowi
Głowę złożyć na topory?«

»Wraża głowa nie przepadła,
Byle zdrowa ręka nasza!
Ale dziś na wieczorynkę
Piękna Dzwinka nas zaprasza.
Wy pójdziecie ze mną razem«.
»I do piekła z tobą, panie!
Tyś kapitan na Podgórzu,
Myśmy twoi, kapitanie!«

Nocka jasna w Czornohorze,
Księżyc świeci z gwiazdeczkami.
Wilczym szlakiem spieszy Dobosz,
Wilczym szlakiem z łeginiami.
Nagle sowa zatęskniła,
Że aż w piersi serce mdleje.
W Czarnohorze nocka jasna,
Jasne blaski księżyc sieje

»Kapitanie, zawróć z drogi.
Zgubę wróży nam ta sowa«.
»Kto to mówi! — krzyknął Dobosz,
Cięży mu na karku głowa?«
I już porwał za pistolet.
»Oto, jestem! Ty mnie trwożysz...
Jać powtarzam, zawróć z drogi!
Oto pierś ma — strzelać możesz«.

Tak Iwanczyk, lubczyk, mówił.
Słyszeliście o Iwanie?
Był to łegiń malowany,
Pierwszy zuch po kapitanie.
A kapitan go miłuje,
Jak swój topór, nawet więcej.
Tylko spojrzy na Iwana —
Aż mu władza więdnie w ręce.

»Tobie wstyd, Doboszu sławny?
I nie masz go z kim podzielić?
Dla tej Dzwinki, dla tej suki
Brata swego chcesz zastrzelić?
I ty myślisz, duszo dobra,
Że ona cię może lubi.
Bazarynki twoje lubi.
Zawróć z drogi, bo cię zgubi!«

»A daj że mi tyle złota,
Że zasypię tę dolinę —
Dwie doliny! A ja Dzwinki
Nie porzucę — prędzej zginę!
Nie chcesz zemną iść do Dzwinki,
Zgoda — wola twoja przecie,
Zawróć z drogi z łeginiami,
Ale Dobosz — nigdy w świecie!«

»Jabym ciebie miał odstąpić?
Ja odstąpić brata mego?
Nie dożyli tego ludzie,
Nie dożyją ludzie tego!
Hejże! naprzód hajdamaki!
Z kapitanem razem wszędzie!
Dajże rękę, kapitanie,
Niechaj gniewu już nie będzie!«

* * *

»Dobry wieczór, piękna Dzwinko!
Otwórz, proszę, goście godni.
Chłopców siedemset jest ze mną,
Czas wieczerzać, bośmy głodni.
Przynieśliśmy srebra, złota,
Przynieśliśmy piwa, wina.
Będziem jedli, będziem pili, —
Tylko otwórz nam, jedyna!«

»Czy to wy tam, Dobosz sławny?
[Tobie chce się wina, piwa.
Ja ci piwa, nawarzyła —
Na cały świat będzie dziwa].

Ej, darujcie, lubku luby,
Że nie mogę was dziś przyjąć.
Lada chwilka Stefan wróci,
Gotówby nahajkę wyjąć«.

»Z tym Stefanem daj mi spokój!
Niechaj Stefan się nie waży
Nawet palcem dotknąć ciebie.
Ty otwórz nam, ja ci każę!«
»A ja mówię wam, Doboszu,
Że dzisiaj wam nie otworzę«.
»A ja pójdę na podsienie,
Pod drzwi plecy swe podłożę«.

»Moje drzwi cisowe, silne,
Nie złodziejom do wyłomu«.
»Co ty mówisz, ty gadzino!«
Huknął Dobosz hukiem gromu.
I chwycił się za odźwierki,
Jak słoma się wszystko kruszy.
Padły drzwi na środek chaty,
Aż w tem uszy nabój głuszy.

Hej, naboju-ż ty zdradziecki,
Hej, naboju ż ty śmiertelny!
Z kapitana krew się sączy,
Rażon padł kapitan dzielny.
Padł i kona na murawie,
Ciepła krew murawę rosi:
A kapitan chłopców woła,
Konającym głosem prosi:

»Jak ja, bracia, druhy, zginę,
To złóżcie mię na topory,
Zanieście mię w sine góry,
W piękne góry Czarnohory,
Kędy ludzie nie zachodzą,
Ani ptaki, — na pustkowie.
I tam wy mię pochowajcie,
Niech się o mnie Lach nie dowie.

»A mój topór, mój złocony
W Dunaj — Dniestr zanurzcie siny,
Niechaj wiedzą ruscy ludzie,
Niechaj wiedzą Rusi syny,
Że kto Dzwinkom w świecie wierzy,
Głową, życiem to nałoży,
Jak wasz Dobosz, wasz kapitan.
Oj — Marjo — Chryste — Boże«!

W Czarnohorze słonko wschodzi,
Czarnohora w blaskach cała.
A tam gdzieś w szczelinie skalnej
Głucho sowa się ozwała.
Ale Dobosz już nie słyszy,
Bo w grobowej, głuchej ciszy
Nawet piosnki o Doboszu
I trombity nikt nie słyszy.

Tłumaczył *W. Szczurat.*

Ocknienie.

Dramat w 3-ch aktach

przez

Dr. Kazimierza Rakowskiego.

Nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego 1900 roku.

SCENA VI.

(Wychodzi pani Stanisławowa z pokoju, w którym spoczywa ciało. Drzwi za nią przymknąć chce Mateuszowa, lecz ku nim rzuca się Szymek).

Pani Stanisławowa. Usłyszałam głosy panów — a, to kochany nasz sąsiad... (podaje Malczewskiemu rękę, którą on całuje). Dozgonną wdzięczność, panie Janie — w imieniu nieboszczyka i moich dzieci... W takiej chwili podwójnie się odczuwa...

Stary Malczewski. Jako przyjaciel Stasia i kolega z ławy szkolnej... (Tymczasem ksiądz zatrzymuje profesora, który wobec bratowej pozostaje).

Pani Stanisławowa. A, i ksiądz dziekan był łaskaw znowu...

Dziekan. Pani dobrodziejko — oto brat św. pamięci drogiego męża pani (przedstawia profesora).

Pani Stanisławowa. To pan! O jakże mam dziękować panu za przybycie. Ja nieszczęśliwa zupełnie straciłam głowę. To przyszło na nas tak niespodziewanie, tak jak piorun...

O, pan, co tak dawno, dawno już męża mego nie widział, pan musi żałować bardzo, że już nie możecie się uścisnąć, przywitać...

(Podczas tego Szymek klęczy zwrócony twarzą do katafalku, żarliwie się modli i wzdycha).

Profesor. Ten telegram o wypadku wydawał mi się zrazu wprost nie do wiary. Na parę dni przedtem — tydzień może — mój brat pisał do mnie winszując przeniesienia do Berlina.

Pani Stanisławowa. O tak, mój mąż wspominał pana — (serdecznie) a raczej brata — kilkakrotnie, miał nawet początkowo zamiar jechać do Berlina — zrzekł się go potem, dlaczego — niewiem. I oto — pożegnał nas na zawsze...

(Chwila ponurego milczenia.

Szymek, który tymczasem był u katafalku, z nabożeństwem pocałował rękę zmarłego i, wychodząc, zamknął za sobą drzwi, przypada ze łzami do ręki pani Stanisławowej).

Szymek. Droga, złota pani! O mój Boże! Czegożeśmy się to doczekali!

Pani Stanisławowa (życzliwie). A, to ty Pawlik. Jak się masz, mój drogi? To ty tu znowu jesteś? nie wiedziałam wcale.

Szymek. Powróciłem -- i co to ja muszę oglądać! A kochany drogi pan — to jakby wiedział, co się stanie. Gdym chciał odjeżdżać, to mi mówił: zostań Szymek, nie odchodźcie jeden po drugim odemnie, bo zanim powrócisz, to się już może i nie zobaczymy. — I sprawdziło się. Pożegnałem się już z nim — z moim dobrodziejem (całuje ją w rękę i wychodzi).

SCENA VII.

Pani Stanisławowa (odprowadzając odchodzącego wzrokiem) Mój mąż dwa razy go z wielkiej nędzy wyciągnął — wdzięczność też sobie u ludzi zaskarbił, jak rzadko.

Dziekan. Nie pójdzie ona z nim do grobu — lecz pozostanie wśród ludzi jako najpiękniejszy pomnik.

Pani Stanisławowa. Jedyna to też moja pociecha. Bo Bóg nas tak ciężko dotknął — że tylko ta pociecha siły do niesienia krzyża dodaje. Ja nawet nie wiem, co się stanie z dachem nad głową...

Staś nie mógł już dłużej walczyć, a cóż ja słaba kobieta!

Dziekan. Właśnieśmy z bratem nieboszczyka i z sąsiadem oto te sprawy omawiali. Sposób zażegnania złego się znajdzie. Jeszcze nie wymarła w sercach ludzkich życzliwość...

Malczewski sen. My potrafimy ocenić, czem był dla nas i dla naszego społeczeństwa Staś.

Profesor. Ja zawsze ubolewałem nad tem, że stosunki pomiędzy nami — choć tak bliską rodziną — były nie dość bliskie.

Pani Stanisławowa. Panowie radźcie — ja nie mam siły, nie mam woli, nie mam myśli. Bracie — z pełnem zaufaniem przyjmuję dłoń twoją...

Dziekan. Tak jest. My to już załatwimy (wyjmując opieczętowaną kopertę). Jedno tylko pozostało jeszcze: św. pamięci nieboszczyk Stanisław na parę dni przed zgonem oddał mi tę oto kopertę, która, jak to dziś jest widocznem — zawiera ostatnią jego wolę. Oddaję ją w ręce pani — i brata.

Stary Malczewski. Ponieważ dziś obradować będziemy, w jaki sposób ratować Księżopole —

dobrzeby było, gdyby nam pani zechciała powiedzieć, czy w tym oto liście Stasia niema jakiego życzenia, lub zlecenia w sprawie Księżopola. Przez przywiązanie dla zmarłego — staralibyśmy się zastosować do jego życzeń...

Pani Stanisławowa. Ależ, kochany, drogi panie — ja sądzę, ta oto (z wielkiem drżeniem w głosie) ostatnia wola mego drogiego zmarłego — do nas wszystkich, jak tu jesteśmy — została wystosowana. On wiedział, jakich swej wdowie zostawił przyjaciół i obrońców i z pewnością w myśli łączył mnie i dzieci razem z Księżopolem, a Księżopole z panami. Odszedł też dlatego tylko, że nie mógł nas wszystkich mieć razem nadal... Do tej ziemi tak się przywiązał — (podaje kopertę Malczewskiemu). Niech pan czyta.!.

Młody Malczewski (przez delikatność chce się usunąć i podczas gdy inni zabierają miejsca przy stole, on całuje rękę Stanisławowej, chcąc się pożegnać. Ona go powstrzymuje).

Pani Stanisławowa. O, panie Tadeuszu — mój Staś mówił panu zawsze Tadziu — pan, choć młodszy, też przecie do nas należy. Niech pan pozostanie. Jeśli mój mąż się żegnać chciał tam (na list) z nami, to i o panu też myślał...

(Tadeusz zostaje. Stary Malczewski tymczasem biedzi się z odcyfrowaniem listu, ponieważ napróżno szukał swych okularów).

Dziekan (kładąc rękę na ramię Tadeusza). Tadziu — a raczej panie Tadeuszu. — Młode masz oczy: wyręcz ojca.

Młody Malczewski (biorąc dokument z rąk ojca zwraca się do wszystkich, zwłaszcza do pani Stanisławowej): Więc mam czytać?

Pani Stanisławowa (dając głową Tadeuszowi znak przyzwolenia — sama zwraca się do profesora). Bracie, nikt wypowiedzieć nie zdoła, jakie uczucia wstrząsają mną w tej chwili... Mój Boże, Mój Staś więc na parę on przed śmiercią już wiedział, że się z nami rozstanie na zawsze i żegnał nas w duchu... A my...

(Tadeusz tymczasem rozwinął list i rzucił okiem. Widać wielkie wzruszenie na jego twarzy).

Młody Malczewski. Do moich najdroższych. — Kochana żono, drodzy przyjaciele! przyjmijcie ostatnie pozdrowienie odemnie. Rozstaję się z wami, bo Bóg mi nie użyczył tyle siły ducha, aby przenieść ruinę domu i pożegnanie z ziemią, gdzie groby ojców. I ja chcę spocząć między nimi. Ta chęć jest dziś silniejsza we mnie niż miłość ku wam. Żem w życiu dnia nie zmarnował — o tem wiecie, boście żyli wraz ze mną, a jednak nie mogłem ruinie zapobiedz. Nie zaniechałem żadnego środka ratunku — wszystko napróżno. Szukałem tam nawet pomocy, gdzie mi dumę i godność osobistą na ciężką próbę wystawić trzeba było. Zrobiłem ofiarę z siebie — dla uratowania ziemi. Upokorzyłem się — napróżno. Przeżyć tego nie mogę. Ale abyście nie sądzili, że jestem zbiegiem z pod chorągwi, powiem, jaką z siebie zrobiłem ofiarę. Zwróciłem się z prośbą o pomoc do człowieka, który w mem przekonaniu gorszy, niż obcy, — bo to swój, co przeszedł w obce szeregi. Mówię tu o... (tu Tadeusz urywa, blednąc, i z ciężką walką wewnętrzną, rzucając spojrzenie ku profesorowi woła) Ja nie mogę dalej czytać tego — Ja nie jestem w stanie...

(Wszyscy, zaskoczeni treścią listu, tracą możność opanowania swego wzruszenia. Profesor — przerażony i blady, wdowa, nie pojmując o co chodzi, rozumie tylko tyle, że jakiś wróg wpędził do grobu jej męża i ma wyraz twarzy jak gdyby chciała zawołać: Gdzie jest winny? Ukamienujcie go! — Dziekan z pod oka spogląda na profesora. Stary Malczewski, trzęsąc się z nasrożoną marsową miną starego wojaka, czuje, że ostateczne słowo wymówione być musi — choćby to oskarżenie miało spaść na jego własnego syna. Na jego czole zarysowują się dwie idee: »Zdemaskować winnego« — i »Konieczność — obowiązek tego wymaga«. Pomiędzy nim a synem rozegrywa się krótka, ale bardzo silna walka).

Stary Malczewski (chrapliwym głosem). Czytaj! czytaj dalej...

Młody Malczewski. Nie. Ja nie mogę. J a, j a nie chcę. Ten list niech pani sama najprzód przeczyta. — (Pani Stanisławowa wyciąga po list ręce).

Stary Malczewski. Nie, nie! Niech czyta. My chcemy, my mamy p r a w o wiedzieć, kto jest tym winnym. (rozkazująco) Czytaj!

Młody Malczewski (po walce ze sobą, wskazuje na profesora. Mimowoli odsuwają się od profesora. podczas gdy Malczewski czyta gwałtownie dalej). Do mego brata, co wyrzekł się polskości, zwróciłem się z prośbą o pomoc w ostatecznej godzinie. Zrobiłem ofiarę ze swej dumy, upokorzyłem się. Prosiłem, jak prosi tonący o podanie ręki — ja, co nigdy nikogo nie prosiłem. Odmówił mi, choć ma setki tysięcy. On przyjął na siebie winę za czyn mój, on...

Pani Stanisławowa. Czy to prawda? Czy to prawda? Pozwolił bratu życiem przypłacić swą odmowę! Ha! Zbrodniarz, i tu przybył urągać śmierci...

Stary Malczewski. Kto zdradził kraj, temu i brata zdradzić łatwo...

Dziekan (przystępując do nieruchomego profesora — łagodnie). Wszak widzi pan, że tu dla pana nie miejsce... w tym domu...

Pani Stanisławowa. O tak, księże. Tu jest jego miejsce! Tu, pod tym dachem, gdzie się urodził, a któremu pozwolił w przepaść runąć, niech pokaże — niech ujrzymy, czy ma śmiałość, czy ma czoło, spojrzeć na bladą twarz swej ofiary. (Gwałtownym ruchem otwierając na rozcież drzwi do pokoju, w którym widać katafalk, woła): Idź, jeśli śmiesz — do Niego! spojrz w twarz zmarłemu! Ha — on drży!...

(Rozstępują się pozostawiając wolne przejście do katafalku. Profesor się chwieje, potem krokiem niepewnym idzie do drugiego pokoju. Tam przez sekundę patrząc na zmarłego, pada na jego pierś z okrzykiem: „B r a c i e, m ó j, b r a c i e“! W okrzyku tym zawiera się wszystko: i ból przebytych chwil pod pręgierzem,

i rozpoznanie złamanego życia, i nieokreślona, a silna tęsknota za krajem. Potem nieruchomo leży, szlochając z cicha.

Tymczasem na przodzie sceny nagła energja rozpaczy u pani Stanisławowej ustępuje miejsca łzom).

Pani Stanisławowa. Sprzedał... sprzedał go śmierci... I za ileż, za ileż można było uratować Stasia?! za dwadzieścia tysięcy! O Boże, Boże (wyprowadza ją dziekan do przyległego pokoju).

Stary Malczewski (wzburzony chodzi po pokoju). Wstyd! Hańba! I takiemu to człowiekowi podawaliśmy przed chwilą rękę! Staś się upokorzył — po raz pierwszy w życiu! Ha, wierzę, że tylko kula w łeb po odmowie z tej strony pozostawała... Boże, Boże, dokąd Ty nas prowadzisz?! przez jakie cierpienia i krzyżową drogę...

(Młody Malczewski, który machinalnie szedł w ślad za panią Beńkowską i dziekanem, stoi oparty o framugę. W tej chwili okazują się we drzwiach w żałobie: Gertruda i Malwina).

SCENA VIII.

Młody Malczewski. Gertruda? Panie tu? w tym domu?

Malwina. Jesteśmy. Cieszymy się, że pan tu jest. Jeden znajomy więcej. Niechże nas pan prowadzi dalej. Szłyśmy po omacku. Służby w przedpokoju niema.

Gertruda. Gdzież papa?

Młody Malczewski. Niech panie wracają... Tu nie miejsce dla pań... Po tem, co tu zaszło...

Gertruda. Panie Tadeuszu, pan mówi do mnie takim zmienionym głosem... Pan nie podał nam nawet ręki... Co tu się stało?...

Młody Malczewski. Niech Panie wracają do siebie — do swego Berlina, do Strasburga, na koniec świata...

Gertruda. Czy Pan mnie chciał urazić tym „moim“ Berlinem? Ja jestem też Polką.

Młody Malczewski. To jest właśnie nasze nieszczęście, że u nas pełno tych istot niezdecydowanych — pół Polek, pół Niemek... Niech panie sobie idą!

Malwina. Panie — ten ton... (Gertruda spazmatycznie płacze i ciągnie matkę do powrotu).

Stary Malczewski. A, to panie — (z ironją) krewne pani tego domu... (z wybuchem) Ten dach się może wam zawalić nad głową! Do Berlina! Do Berlina!

(Kobiety szybko uchodzą).

(Po ich wyjściu wraca od katafalku profesor, nie wiedząc o ich bytności).

Profesor. Zawiniłem dużo — ale chcę naprawić. Księżopole nie przejdzie w obce ręce: Ja je kupię i tu osiędę...

Stary Malczewski (ironicznie). I nie wróci pan do Berlina?

Profesor. Nie. Tu zostanę.

Stary Malczewski. Niech pan kupuje. Właśnie dobra okazja. Może pan tanio kupi. (Profesor czuje obelgę w tych słowach i wychodzi).

SCENA IX.

(Młody Malczewski z niepokojem kręci się po pokoju. Wygląda przez okno. Znać, że chciałby dogonić żonę i córkę profesora. Bierze kapelusz).

Stary Malczewski. Tadeusz! Dokąd idziesz?

Tadeusz Malczewski. Ja, ja muszę iść...

Stary Malczewski. Poczekaj. Jedno słowo. (patrząc mu w oczy). Ty — ty chcesz iść tłómaczyć się przed temi kobietami? (Tadeusz milczy) Tadziu — ja widziałem — tyś z tą panną rozmawiał inaczej, jak z zupełnie obcą — Tadziu!

Młody Malczewski. Tak — znam ją. Ale to nie należy do rzeczy. Wszak ojciec słyszał, com im powiedział...

Stary Malczewski. Dobrześ powiedział: pod uczciwym polskim dachem nie miejsce dla rodziny tego — tego człowieka. Rozumiesz mnie?

Młody Malczewski (z ciężką walką ledwie dosłyszalnym głosem). Tak, ojcze.

Stary Malczewski (wyciąga doń rękę). Daj rękę, chłopcze. Tak. A pamiętaj — dla niej nie miejsce ani pod t y m, ani pod... n a s z y m dachem...

(Tadeusz wybiega. Stary z rozrzewnieniem spogląda za nim. Potem powoli idzie ku trumnie).

A teraz — my pogwarzymy, stary mój druhu. (Idzie do drugiego pokoju, siada przy trumnie i w zadumie spogląda na sztywne rysy przyjaciela).

Zasłona spada.

(C. d. n.).

W Noce bezsenne.

W noce bezsenne
Otwórz twej duszy złote podwoje,
Niechaj w nie wejdą bladych mar roje. —
W noce bezsenne,
Snuć ci przychodzą przeczuć przędziwo,
Wieścić cud nowy, nieznane dziwo
Tajemne głębią, tajnią bezdenne.
A tyle niosą nowin i wieści!
Więc otwórz duszę, słuchaj ich treści,
Bo krótkie jest życie
I krótkie są noce bezsenne.

W noce bezsenne
Stań przy twej duszy wrotach na straży,
Gdzie rój mar dziwy nieznane gwarzy
W noce bezsenne —
Bo jeśli spłoszą je czyje ręce,
Znikną milczące, nie wrócą więcej,
Jak mgieł opary białe, wiosenne.
A tyle niosą nowin i wieści!
Więc otwórz duszę, słuchaj ich treści,
Bo krótkie jest życie,
I krótkie są noce bezsenne...

Leopold Staff.

Stosław Łaguna.

Znakomity ten historyk umarł przed kilku dniami, w Warszawie, rażony apoplekcją.

Sp. Stosław Łaguna urodził się w r. 1833. ukończył studja prawne w. r. 1855., a w cztery lata później mianowany został profesorem uniwersytetu w Petersburgu, gdzie na katedrze prawa polskiego, wykładał aż do r. 1861 jednocześnie zaś był profesorem historji w Akademji duchownej rzymsko-katolickiej. W r. 1861. został sędzią trybunału cywilnego w Warszawie. Od r. 1875 mieszkał stale w Warszawie, całkowicie oddany studjom nad historją pierwotnego prawa polskiego i historją Polski średniowiecznej.

Sp. Łaguna rzadko odzywał się publicznie, ale jeżeli się odezwał, to zawsze z prawdziwym, a wielkim dla nauki pożytkiem. Każda jego praca, najdrobniejsza nawet, przynosiła z sobą zawsze cały szereg nowych, a poważnych przyczynków, jak zwłaszcza „Nowa hypoteza o pochodzeniu szlachty polskiej“ rzecz napisana z powodu studjum prof. Piekosińskiego. Z innych prac jego należy wymienić: „Pierwsze wieki kościoła polskiego“, „Miniatura z XVI wieku, „Rodowód Piastów“ etc.

W uznaniu zasług prof. Łaguny Akademja umiejętności w Krakowie mianowała go członkiem czynnym na wydziale historyczno - filozoficznym. Oprócz dzieł ściśle naukowych ogłosił śp. Łaguna sporo artykułów publicystycznych, polemicznych i krytycznych, w których prócz wielkiej bystrości poglądów, silnie bije ukochany przez nieboszczyka ideał „prawdy“. Był to bowiem nietylko wielki uczony, ale i sprawiedliwy, zacny, najszlachetniejszy człowiek.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

w idei a w rzeczywistości.

Dokończenie.

Nienawiść rozbestwia się mianowicie w takich czasach, w których panują epidemje umysłowe, gdyż epidemje takie dają powód do rozmaitych iluzji i halucynacji. Przedmiotem tym zajmują się liczni uczeni, jak np. profesorowie Bechterew, Sikorski, Stein i Regnard w swem klasycznem dziele „Les maladies épidémiques de l'esprit. Paris 1887.

Uczeni wykazują nadto, że w czasach dawniejszych panowały oprócz antisemityzmu i oprócz wiary w morderstwa rytualne, jeszcze liczne inne zabobony i epidemie umysłowe, jak np. demonomanja, dalej wiara w czary i w czarownice, tudzież epidemje padaczki, epidemje kurczów S. Wita, epidemje wielkiej histerji i t. p. W naszych czasach panują, zwłaszcza w Anglji i w Ameryce, epidemje mistycyzmu i spirytyzmu, w Rosji zaś epidemje sekciarstwa, doprowadzające nieraz do takiego fanatyzmu, że członkowie pewnych sekt dają się żywcem grzebać. Niejaki Kowalew wyświadczył tę przysługę aż 25 osobom, tj. pogrzebał je żywcem. Między temi ofiarami fanatyzmu znajdowały się jego żona i jego dzieci, a nawet jego teściowa.

Najistotniejszy z darów, które ludzie kulturze zawdzięczają, jest hart charakteru. W społeczeństwach zdemoralizowanych zajmuje jego miejsce lekkomyślność. Wada ta objawia się mianowicie tem, że dotyczące osobniki nadużywają położonego w nich zaufania. Dlatego też jest w takich społeczeństwach sprzeniewierzanie pieniędzy, zwłaszcza kasowych, na porządku dziennym. Tyczy się to nawet pieniędzy kas oszczędności, a więc instytucji, której społeczeństwa moralnie zdrowe strzegą jak oka w głowie, bo uważają ją za skarbiec, powierzony ich opiece i ich uczciwości.

Społeczeństwa zaś moralnie podupadłe nietylko patrzą obojętnie na malwersacje w kasach oszczędności, ale popełniają zło jeszcze gorsze, bo nie

karzą tych malwersacji, a to z powodu następującego:

Wspomniane malwersacje byłyby niemożebne, gdyby ci, którzy przyjmują na siebie obywatelski obowiązek opiekowania się kasą, tj. kontrolowania jej dyrektora, pełnili sumiennie ten obowiązek. Stąd wynika, że w razie malwersacji w kasie oszczędności ci opiekuni są właściwymi i głównymi winowajcami. Ich tedy należy przedewszystkiem pociągać do odpowiedzialności. Ale społeczeństwa moralnie podupadłe nie są wstanie zdobyć się na ten czyn sprawiedliwy, dlatego też przechodzą nad wspomnianemi malwersacjami obojętnie do porządku dziennego.

Co do wspomnianych epidemji umysłowych uczy doświadczenie, że dają one jak powiedziałem przez działanie suggestji i autosuggestji powód do rozmaitych omamień i złudzeń. Że zaś działanie suggestji i autosuggestji jest istotnie nadzwyczajnem, dowodzi fakt następujący[*]):

W r. 1846 płynęła fregata *Belle-Poule* z korwetą *Berceau* do Madagaskaru. Z początku szła podróż pomyślnie. Atoli w okolicy pewnych wysp na Oceanie zerwał się nagle orkan, uchwycił korwetę i uniósł ze sobą. Załoga tej korwety składała się z 300 osób. Otóż losem tych osób była załoga fregaty mocno zaniepokojona, gdyż wspólna dola i niedola połączyła załogi tych okrętów ścisłą przyjaźnią. Wspomniane zaniepokojenie i trwożliwe oczekiwanie, kiedy też zagubiona korweta pojawi się na horyzoncie, trwało już blisko miesiąc. Naraz, było to w sierpniu i w porze popołudniowej, sygnalizuje okrętowa straż, umieszczona na maszcie, że na dalekim horyzoncie zachodnim widać okręt zupełnie skołatany burzą, bo nie mający ani żagli, ani masztów.

Wiadomość ta wywołała wśród załogi fregaty ogromną sensację, bo radość i obawa miotały umysłami naprzemian. Nareszcze zwyciężyła radość i wzrosła do najwyższego stopnia, gdy wszyscy, pospieszywszy na pokład i patrząc w kierunku, wskazanym przez straż, ujrzeli ogromną tratwę, napełnioną ludźmi, dającymi wyraźne znaki, że potrzebują pomocy. Im dłużej zaś załoga fregaty na tę tratwę patrzała, tem wyraźniej widziała całą scenę, rozgrywającą się tamże.

Istnienie rozbitków skonstatowali tedy wszyscy. To też komendant fregaty wysłał natychmiast szalupę z łodziami w pomoc tym rozbitkom. Jazda trwała kilka godzin. Przez cały ten czas załoga szalupy widziała rozbitków jak najwyraźniej. Ba! Powoli zaczęła nawet słyszeć ich głosy, wołające o rychłą pomoc. Gdy nareszcie o zmroku szalupa, a względnie jej łodzie zbliżyły się do rzekomej tratwy, pokazało się, że była to tylko kupa olbrzymich i ze sobą poplątanych drzew, które fale morskie w to miejsce zaniosły. Nie potrzebuję mówić, że spodziewanej załogi korwety na tych drzewach nie było, gdyż załoga ta spoczywała już od dawna na dnie morza.

*) Suggestion und ihre sociale Bedeutung V. Prof. Dr. Bechterew. Deutsch von Dr. R. Weinberg. Leipzig 1899. pag. 19.

Na zakończenie należy jeszcze wspomnieć o rzeczy wielkiej doniosłości. Oto przed 11 laty zawiązało się „międzynarodowe stowarzyszenie kryminalistyczne“, dzięki ideom, szerzonym przez profesora Benedikta. Idee te utorowały dla sądownictwa drogi całkiem nowe, bo prowadzące w krainę nauk antropologji i socjologji kryminalistycznej.

Wspomniane stowarzyszenie liczy już około 700 członków i składa się z antropologów, z socjologów, z lekarzy i takich jurystów, którzy pracują na polu kryminalistyki. Stowarzyszenie to będzie z czasem odgrywać ważną rolę, bo będzie na swych kongresach omawiać i krytycznie rozbierać takie kwestje, które stoją w sprzeczności ze sprawiedliwością. Na teraz usiłuje stowarzyszenie to zaprowadzić na wydziałach prawniczych takie kursa, jakie na wydziałach lekarskich istnieją już od dawna, tj. kursa uzupełniające.

Zadaniem tych kursów będzie po pierwsze: wprowadzać w rozległą dziedzinę socjologji kryminalistycznej takich prawników, którzy się dziś obracają tylko w ciasnem kółku prawa pozytywnego, a powtóre: podnosić nieustannie, że owa instytucja, której symbolem jest bogini sprawiedliwości, jest instytucją kulturalno-społeczną, powinna zatem funkcjonować zgodnie z naukami etyki i socjologji.

Dr. Jasiński.

Z pism i książek.

Władysław Orkan: Nad urwiskiem. — Lwów 1900.

Pod Tatrami zdaje się otwierać nowe ognisko sztuki polskiej. Pojawia się tam pokaźna liczba młodych sił, wnoszących w nią moc i życie. Kazimierz Tetmajer, zaznaczając w swej przedmowie do pierwszych nowel Orkana to obfite wykwitanie u stóp Tatr nowych zdolności twórczych, wyraził nadzieję, że może ono dać początek tatrzańskiej szkole. Watpię, czy można tu mówić o jakiejś szkole, bo nie wiem, czy całą tę nową grupę łączy jaka inna cecha, prócz wspólnego miejsca pochodzenia, a i życia — bo oni wszyscy prawie tak przylgnęli do swej ziemi, że wracają do niej. To pewne jednak, że ta kraina okazała dziwną bujność w tym kierunku. W ostatnich czasach powstał tam szereg talentów, znaczących swą silną żywotność w rozmaitych działach sztuki — że wymienię chociażby tylko Brzegę i Orkana.

Szersza publiczność miała sposobność zapoznania się bliżej z osobą tego ostatniego, nie tak dawno w czasie odczytu jego we Lwowie. Prace zawarte w ostatnim »Nad urwiskiem« zbiorze Orkana, zaczerpnięte są

z życia ludu podgórskiego. Odbiła się w nich dola jego, tak, jak odbija się w szybie wodnej wiszące nad nią sklepienie niebieskie. I tło w nich takie, jak to posępne niebo nasze, które zna swoje chwile weselnych rozjaśnień, lecz więcej na nim chmur, niż słonka. Weszły w nie niektóre momenta, wydarte z istnienia tego ludu, który przywarłszy do niepłodnej ziemi, toczy swe życie w powolnej z nią i z nędzą walce, pod ciężarem gniotącego go jakby jakiegoś przeznaczenia. A jakby symbolem tego istnienia jest chłop, w pierwszym szkicu, który wyjrzawszy przez okno wiosennym rankiem na rozświeżone wilgocią pola, przypomina sobie, że kiedyś ta ziemia, na którą patrzy, nie była tak pokaleczoną miedzami w zagony. Sięga myślą w przyszłość, i widzi, jak się te miedze zbiegają, jak się mnożą, nakoniec widzi już tylko same miedze i naraz staje nad tą przyszłością, jak nad urwiskiem, na dnie którego ciemnieje nędza. I idzie do pracy bez ochoty, z jakąś głuchą, tępą rezygnacją, którą odleciała wszelka nadzieja.

Parę jaśniejszych chwil spotykamy w kilku obrazkach dni świątecznych, kiedy ludzie starają się weselić, jak mogą swobodnie, z niepamięcią na troski, boć to zdarza się »ino raz w roku«. Mamy wnętrze chaty z rozpostartym w niej uroczystym nastrojem wśród przygotowań do »wilji«. (Wilja) potem, w dzień Bożego Narodzenia, zabranych jej mieszkańców przy kolędzie (Na godnie święta). Gdzieindziej znowu odrysowuje Orkan w cudowny sposób duszę małego pastuszka, pasącego owce, któremu dzień się dłuży i strasznie się »cnie« w daremnem wyczekiwaniu na obiecaną »juzynę«, aż wreszcie chwyta go dziecięce rozżalenie. Mamy wreszcie także i obraz domowego piekiełka, snać w jednym z takich dni, w których na wszystkich członków rodziny jakieś złe pada i aż grzmi wśród nich od łajań i klątw; niechby jednak ktoś obcy wmieszał się, wnet wszyscy zgodnieby go obsiedli i cała ulewa złorzeczeń, familijnie rozdzielona, spadłaby na niego jednego.

Dotknąłem paru tylko prac, zawartych w zbiorze, by rzucić przykładowo treść ich tematów. Jak wspomniałem, wyrosły one z życia ludu.

Temat ludowy, tak częsty dziś w powieści, jest z jednej strony wprawdzie przystępniejszy, z drugiej jednak przedstawia pewne trudności w zachowaniu równowagi. W szkicach Orkana utrzymuje ją wybitnie artystyczne piętno, jakie one noszą i pełna poezji przyroda, która je przenika. Drobne szczegóły, dobyte o tyle, o ile były potrzebne, wychodzą w nich zharmonizowane w pełne linje szkicu, wywołując życie w ludziach i rzeczach. Ma to życie zarówno wnętrze chaty w wieczór »wiliji«, jak i Błażkowa baba, ze swą krową Łysiną, która odznaczała się wielką zaletą, iż wypasała tylko cudze zagony, ma je stary chłopina, napotkany przy źródle leśnem, żywiący się jak ptacy niebiescy i filozofujący nad »planetami« ludzi, — jak i ów, którego tylko chwileczkę widzimy, jak niosąc na ramieniu cały pęk bazi, nie wie, co odrzec na żarty młodzieży i uśmiecha się ino dziwacznie, — jak żyje wreszcie i dysze w końcowym obrazku dramatycznym sama noc górska ze swą ciszą dziwną i pustką — pełną grozy. Wszystkie te postaci ludzkie czują i myślą po swojemu, mówią swym językiem, z którego wielu słów jędrnych i obdarzonych właściwą świeżością używa autor wprost od siebie. Może tylko gdzieniegdzie wkradły się lokalne właściwości językowe, nieco zbytecznie. W jednym z obrazków rozmowy pisane są nawet gwarą fonetyczną. Wzmacnia to wprawdzie koloryt ludowy, lecz przybiera cechę bardziej etnograficzną. Lecz to tylko drobna uwaga, mimochodem rzucona.

Pewną szczególną cechę szkiców, objętych tym zbiorem, tworzy, — że tak to nazwę w braku lepszego wyrazu, — malowniczość niektórych momentów w nich zawartych. Układają się one w gotowe obrazy z ugrupowaniem i tłem, stają przed nami odrazu ze światłem, z barwnymi tonami, z powietrzną przestrzenią. Nie mówię tu o zwykłej plastyce opisu, lecz o zupełnie malarskiem ułożeniu momentu w obraz — choćby rodzajowy, jeżeli chodzi o nazwę.

Proszę bowiem posłuchać: »Pozostały tłum szeroką ławą obległ kościół dookoła i stoi rozmodlony w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni. Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza — tłum chyli się i klęka, a z nim porusza się falą gęsty las wierzbowych pręci«..

Ma się w tym ustępie, zwłaszcza, gdy się go zwiąże z całością, zupełne uwydatnienie tego przymiotu malarskiego. Tak samo unieruchomiony na chwilę w gotowym obrazie staje przed nami lud, spływający po ubocczach w kwietnią niedzielę, z osrebrzonem pręciem na ramieniu, lub rozkładający w Wielką sobotę na cmentarnym trawniku pod kościołem do święcenia koszyki i rozścielone płachty, wśród których chodzi ksiądz z kropidłem w ręku, obok zaś niedorostki opalają gałązki cierniowe przy poświęconem ognisku. Takich epizodów, po malarsku oddziaływających na widza, jest cały szereg.

A druga rzecz, która nadaje odrębny charakter tym szkicom, to wielkie umiłowanie się *człowieka* w to, co pisze. Źle powiedziałem: nietylko umiłowawanie, ale wrośnięcie. Tysiączne węzły, jakie istnieć mogą między człowiekiem a przedmiotem, nie są artystycznie obojętne; wykształcają one w pewien indywidualny sposób stosunek pisarza do jego materjału, tworzą jakąś bezpośredniość i jakby krążenie odżywczych soków między nimi.

Ludzka gromada, rozrzucona w tych szkicach, zrasta się w jedną istotę. Świeci nad nią nimb tragizmu i niedoli, powoli ją nurtującej — a prócz tego otoczona jest jakby świętością jakąś.

Może rzadko kiedy tak, jak w tej książce, odzywa się cała głębia biblijnych słów: »boży lud« — lud tak dawny i tak pierwotny, jak sama natura, żywiący w sobie odwieczne tradycje, jakby echa, przyniesione z zamierzchłych, bajecznych czasów — lud tak Bogu bezpośredni, jak ziemia, jak zioła i drzewa.

W jednym z wierszy, wtrąconych do zbioru, mówi Orkan:

O ziemio nędzy i zamarzłych kęp!
W łonie twem ognie gorają głęboko,
A pierś twa zimną i twardą opoką,
Którą lemieszem targa człowiek-sęp. —
Tysiące karmi twój niewdzięczny plon -
Lecz mowa ich jest nieustannem łkaniem,
Żywot każdego powolnem konaniem,
A życie wszystkich — jeden cichy zgon...

Znam jeszcze inny lud, odmienny mową, na żyznych równinach rozsiadły, jeno cichszy i bardziej w sobie skupiony, bardziej nędzny i mniej swobodny... *T. S.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.